

Spalić świat za iPhone'a

24 sierpnia 2011

Zamieszki w Londynie i innych miastach zaskoczyły Brytyjczyków skalą oraz stopniem agresji. Jednak gwałtownego wybuchu frustracji i niezadowolenia wykluczonych poza nawias społeczeństwa dobrobytu można się było spodziewać od dawna.



Od kilku miesięcy brytyjscy publicyści, politycy opozycji, socjolodzy i eksperci różnych thinktanków zastanawiali się, kiedy Brytyjczycy pójdą w ślady Greków oraz Hiszpanów i rozpoczną społeczny bunt. Wszystkie znaki na społecznym niebie i ekonomicznej ziemi wskazywały na taki właśnie scenariusz.

Według National Institute of Economics i Social Research gospodarcze wskaźniki Wielkiej Brytanii osiągną swój poziom z 2008 roku dopiero za dwa lata. Oznacza to, że obecny kryzys na Wyspach jest najdłuższy od niemal stu lat. Rośnie bezrobocie, a w wyniku cięć budżetowych uderzających także w system socjalny perspektywy dla osób bez stałego zatrudnienia stają się coraz bardziej dramatyczne. Nowe miejsca pracy co prawda powstają, ale, jak ogłosiło w zeszłym miesiącu Office for National Statistics, zdecydowana większość pojawiających się ofert zatrudnienia to praca na pół etatu. Dla tych, którzy zatrudnienie mają, perspektywy także nie są zbyt

optymistyczne. Wzrost wynagrodzeń jest prawie niezauważalny i dotyczy głównie sektorów takich jak bankowość albo takich, w których podwyżki płac przez lata były zamrożone (manufaktura i rękodzieło). Inwestycje są na zatrważająco niskim poziomie 2,7 proc. Wzrastają za to opłaty. British Gas przewiduje, że do nadchodzącej zimy rachunki za gaz i światło wzrosną odpowiednio o 18 i 16 proc. Brytyjski standard życia znacząco się obniżył. Eksperci, skupiając uwagę na bolączkach klasy średniej, kompletnie zignorowali problemy tych tkwiących na samym dole drabiny społecznej. Spodziewano się buntu i politycznych protestów kulturalnych ludzi z przedmieść. Zamiast tego wybuchła ulica.

RZĄDY MOTŁOCHU

Zaskoczone skalą zamieszek w Tottenhamie brytyjskie media niemal natychmiast narzuciły narrację zdziczałego tłumu bez powodu atakującego porządek społeczny. „Daily Telegraph” ogłosił na pierwszej stronie, że w Londynie nastały rządy motłochu. Konserwatywni publicyści wezwali rząd i policję do ostrego rozprawienia się z „chuliganami, wandalami i rabusiami, którzy bezmyślnie demolują kraj”.

Jeszcze dalej posunęły się polskie media, które zaczęły przekonywać, że zamieszki w Londynie są wynikiem kompromitacji polityki multikulturalizmu, grając przy tym ograną rasistowską kartą. Zamęt i przemoc w Wielkiej Brytanii bez żadnej refleksji, mechanicznie porównywano do wydarzeń we Francji, kiedy to w 2005 roku w płomieniach stanęły emigracyjne dzielnice Paryża. Tę narrację szybko podchwycili mieszkający w Wielkiej Brytanii Polacy, którzy informacje z Wysp paradoksalnie czerpią głównie z mediów krajowych. Polonijne fora internetowe oraz towarzyskie rozmowy przepełnione były rasistowskimi docinkami i werbalną agresją ukierunkowaną na „ciapatych”, „arabusów” oraz „emigracyjnych bandytów żyjących z handlu narkotykami i zasiłków”, którzy jak najszybciej „powinni się wynieść tam, skąd przybyli”. Warto więc tym bardziej podkreślić, że Mark Duggan, 29-latek, którego śmierć

była bezpośrednią przyczyną wybuchu przemocy, nie był żadnym emigrantem, tylko obywatelem Wielkiej Brytanii urodzonym w Hornsey, a w wydarzeniach w Londynie oraz w innych brytyjskich miastach wzięli udział młodzi ludzie o różnorodnym pochodzeniu etnicznym. Łączy ich nie kolor skóry, tylko pochodzenie socjoekonomiczne, brak perspektyw i bieda. Zarówno mentalna, kulturowa, jak i społeczna.

BRYTYJSKI PGR NA OSIEDLU KOMUNALNYM

Kiedy Londyn ogarniały płomienie, byłem w Manchesterze, przygotowując materiał do reportażu o ludziach żyjących poza nawiasem społeczeństwa dobrobytu. O narkomanach, alkoholikach i młodocianych przestępcach, którzy nigdy nie pracowali, tak mocno ostatnio dyskredytowanych zarówno przez brytyjską, jak i polonijną prasę. W betonowej dżungli otoczonej komunalnymi blokami łatwo można było wyczuć wzrastające napięcie, frustrację i podskórnie bijącą agresję, a także uderzające podobieństwo do polskich popegeerowskich wsi. Ta sama mentalna bieda, niewiara w struktury państwowe oraz mechaniczne dziedziczenie życiowej i społecznej bezsilności. Różnica polega na tym, że młodzi Polacy żyjący na terenach pegeerów pogrążeni są w marazmie, a młodzi Brytyjczycy żyjący w komunalnych gettach tworzą własną, równoległą społeczność, rządzącą się własnymi, brutalnymi prawami. Społeczność, w której nabycie luksusowych towarów poprzez przemoc lub kradzież jest uzasadnioną koniecznością, nagradzaną lokalnym szacunkiem. W takich miejscach policja to wróg, który jest brutalny i któremu trzeba odpowiedzieć taką samą brutalnością. W takich miejscach pojęcie wspólnoty nie istnieje, bo ta cała mainstreamowa wspólnota nie ma przecież nic sensownego do zaoferowania. Ani kluby młodzieżowe, ani edukacja, ani coraz trudniej dostępna praca za płacę minimalną nie pomogą wyrwać się z zaklętego kręgu ubóstwa. Członkostwo w gangu już tak.

Takie same warunki, idealne do inkubacji antyspołecznych zachowań, panowały w Tottenhamie oraz dzielnicach innych miast, w których doszło do rozruchów. W Harigey, w skład

której wchodzi Tottenham, stopa bezrobocia wynosi 9 proc., a na jedno miejsce pracy przypada 54 chętnych. Dzielnica może się też poszczycić czwartym najwyższym poziomem ubóstwa wśród dzieci. „To dzielnica, gdzie ludzka godność deptana jest deprawacją i brakiem perspektyw” – napisała w „The Independent” działaczka fundacji The Place To Be and Kids Company, Camila Batmanghelidjh, dodając, że frustracja, agresja i zamieszki w Londynie to „naturalna reakcja ludzi na brutalną rzeczywistość związaną z biedą i społecznym wykluczeniem”.

REWOLUCJA WYBRAKOWANYCH KONSUMENTÓW

Uczestnicy zamieszek nie wzbudzili ani społecznej, ani politycznej sympatii. Wywołali za to lęk, niechęć i wezwania do zaostrzenia akcji policyjnych. Nie tak łatwo przecież wspierać lud, który zamiast domagać się pracy i chleba, grabi sklepy z luksusowych dóbr. A jednak, jak trafnie zauważył w „Social Europe Journal” Zygmunt Bauman, na ulicach Londynu rozgrywał się odwieczny konflikt „posiadaczy i posiadania pozbawionych, posiadających i nieposiadających” – z tą różnicą, że pragnienie zdobycia chleba zostało zastąpione chęcią posiadania elektronicznych gadżetów i produktów luksusowych. Mechanizm jest jednak ten sam. W 1965 roku w eseju „Nature of War” brytyjski antropolog Edmund Leach napisał: „Każde społeczeństwo musi trzymać agresywne instynkty poszczególnych jego członków pod kontrolą. Nie można jednak tego osiągnąć poprzez represję lub nakazy moralne, ale przez sublimację, czyli poprzez przesunięcie potrzeb z celu, którego nie można zrealizować ze względu na niezgodność z przyjętymi zasadami, na inny, zastępczy obiekt”.

Różne kultury – tradycyjne i nowoczesne – osiągały to w różny sposób. Jednak w warunkach gospodarki rynkowej efekt sublimacji osiąga się głównie przez konsumpcję, gdyż konsumpcjonizm to idealny kreator ludzkich dążeń i aspiracji. Zamieszki w Wielkiej Brytanii nie są więc co prawda „rewolucją głodnych”, ale nie są także, jak uważa David Cameron oraz

znaczna część brytyjskich mediów, „bezmyślnym wandalizmem”, a już na pewno nie, jak chcą polskie pisma, „dowodem na to, że multikulturalizm się skompromitował”. Agresja na ulicach brytyjskich miast jest brutalnym powstaniem „zdyskwalifikowanych konsumentów” funkcjonujących poza nawiasem społeczeństwa dobrobytu, które symbolizuje karta kredytowa oraz dom z ogródkiem na przedmieściach. To stracone pokolenie, które zdaje sobie sprawę, że klasa polityczna nie ma dla niego żadnego planu, a jedyną szansą na awans materialny jest uczestnictwo w półświatku przestępczym. Zduszenie zamieszek, surowe kary więzienia i większe uprawnienia policji problemu narastającego napięcia w Wielkiej Brytanii nie rozwiążą. Jak udowadniają w książce „The Spirit Level: Why More Equal Societies Almost Always Do Better” Richard Wilkinson i Kate Pickett, im większe nierówności w danym kraju, tym więcej zjawisk określanych mianem „problemów społecznych” – od wzrostu przestępczości poprzez antyspołeczne zachowania. Dzisiaj przepaść między bogatymi a biednymi w UK jest ogromna i zwiększa się z każdym rokiem. Ulice brytyjskich miast zapłoną jeszcze nie raz.

Autor: Radosław Zapałowski

Zdjęcie: Piotr Apolinarowski

Źródło: [eLondyn](#)